

Jacek Hołówka

Rozmowa o etyce i prakseologii

Na początku lat osiemdziesiątych jedna ze szkół średnich na południu Polski przyjęła imię profesora Tadeusza Kotarbińskiego. Zostałem zaproszony na tę uroczystość z krótkim referatem na temat etyki Tadeusza Kotarbińskiego i szczególnie cieszyłem się na myśl, że honorowym gościem będzie prof. Kotarbińska. Liczyłem na to, że będę miał okazję dowiedzieć się czegoś o tym, jak ona sama pracowała i co inspirowało jej męża.

Znaleźliśmy się w wielkiej sali gimnastycznej, szczelnie wypełnionej młodzieżą i gronem nauczycieli. Profesor Kotarbińska mówiła o swym wybitnym mężu jasnym, donośnym głosem. Słuchano jej z niezmaconą uwagą. Mimo że na sali mogło być blisko tysiąc osób, jej głos docierał do każdego i przykuwał uwagę piękną dykcją i szczerością wypowiedianych myśli. Profesor Kotarbińska mówiła o tym, że życie jej męża poświęcone było wyłącznie nauce, ale że jednocześnie nie było to życie typowego naukowca. Sprawy praktyczne leżały mu na sercu znacznie bardziej niż nierozwiązywalne zagadki filozofii. Zakończyła wymowną osobistą uwagą: „Mówię o Tadeuszu Kotarbińskim wyłącznie pochlebnie nie tylko pod wpływem zasady *de mortuis nil, nisi bene*, ale dlatego, że nigdy nie miałam powodu myśleć o nim inaczej”. Tak prosto wyrażone uczucie zbiegało się z nastrojem sali, w której prof. Kotarbiński miał wielu zupełnie nie znanych mu czytelników i zwolenników. W krótkiej dyskusji profesor Kotarbińska odpowiedziała na pytania dotyczące etyki, prakseologii i działalności publicznej swego męża. Sprawiała wrażenie osoby szczęśliwej. Reagowała żywo, niemal entuzjastycznie.

Po spotkaniu nie wyglądała na zmęczoną, odwrotnie, wydawało się, że miała ochotę na rozmowę. Znalazłem więc okazję, jedyną w życiu, by z nią spędzić pół godziny. Jej pierwsze pytanie zbiło mnie z tropu: „Mam wrażenie, że pan bardziej ceni etykę męża niż jego prakseologię. Czy tak jest w istocie, czy pan po prostu nie interesuje się prakseologią?” Z pewnością interesowałem się etyką, i to powiedziałem. Dodałem też, że nie bardzo potrafię dopatrzeć się treści filozoficznych w pewnych zaleceniach prakseologii. Np. w postulatcie, by pewne problemy rozwiązywać „metodą mięśniową”. Samo takie określenie wydawało mi się nieprzyjemne, a nadto kojarzyło mi się z wszelkimi formami fizycznego nacisku

i zastraszania. Nie potrafiłem na poczekaniu przytoczyć cytatu, który miałem na myśli, choć dziś wiem, gdzie go znaleźć.

„Teoretyk wobec praktyka grzeszy tym, że nie uznaje hipostazy nawet tam, gdzie uznać ją powinien [...]. I to jeden z jego grzechów głównych. Nie zna on nadto metody mięśniowego rozwiązywania zagadnień dotyczących się przyszłości, zagadnień, wyraźnie zagadnień, czyli pytań, a nie zadań, czyli gdy chodzi o wynalezienie odpowiedzi, nie zaś o realizację projektu. Okaże się to, gdy go postawimy razem z praktykiem w odpowiednio dobranej sytuacji. Oto znajdują się obaj na przystani i obaj zadają sobie problem analogiczny, pytając każdy siebie, czy będzie on za godzinę na przystani Dobra Okolica. Łódź może ich zawieźć jedna tylko i ta nadpływa. Zastaje ona teoretyka pogrążonego w rozmyślanii: snuje on daremne wnioski z danych spostrzeżenia, obserwując wszelkie okoliczności — i kierunek wiatru, i przyjazd łodzi, własny stan wysiłku, a wierząc w łączność każdego fragmentu przeszłości z każdym epizodem przyszłości, w jednoznaczne określenie ostatniej przez najdawniejsze nawet postanie pierwszej, na próżno usiłuje dowiedzieć się drogą wnioskowania z danych spostrzeżeń [...] prawdziwej odpowiedzi na swoje pytanie. Zajęty włącznie tym, co należy do jego pytania, zaniedbuje zająć miejsce w łodzi i dopiero gdy ta odpłynęła, spostrzegłszy to wnosi, iż się za godzinę na owej przystani nie znajdzie. [...] Praktyk też ma problem rozwiązany. On jednak, chcąc go rozwiązać postąpił tak: zawiesił czynność badania do pewnego czasu; gdy przyszła łódź, wszedł do niej, a gdy odbiła od brzegu, stwierdził z wielkim prawdopodobieństwem, że znajdzie się niedługo w Dobrej Okolicy. [...] Oto przykład metody mięśniowej lub, bardziej konkretnie, «ręcznej» rozwiązywania zagadnień. Są problematy, które się rozwiązuje nie tylko głową, ale i mięśniami, mięśniami nóg, mięśniami rąk”.

Profesor Kotarbińska pamiętała tę myśl i powiedziała mi, że źle ją zrozumiałem. Nie chodzi w niej o walkę między mięśniami a mózgiem, ani tym bardziej między zwolennikami przemocy i rzecznikami refleksji. Jest to raczej dobitny, choć łagodny sposób potępienia wodolejstwa, gnuśności, pustego marzycielstwa i rozszczepiania włosów na czworo. „Mój mąż tak uważał i ja też tak sądzę”. Jeśli dobrze pamiętam, powiedziała mi coś takiego: że „jeśli coś jest do zrobienia, to trzeba to zrobić. To sprawa najważniejsza. To, co jest do zrobienia, musi być zrobione. Taki jest cały sens prakseologii. Nie wolno trwonić czasu na przyziemne i egoistyczne pytania — kto ma to zrobić, jak będzie pracować, za co będzie pracować itd. Praca ma być wykonana. Niech ją wykona pierwszy, który dostrzeże zaniedbania i pole leżące odłogiem. A gdy ukończy pracę, gromada powinna go wynagrodzić. Jeśli zamiast tego zacznie się debatować nad kierunkiem działań, formą zapłaty, podziałem obowiązków, dyskusjom nie będzie końca. A brud, błoto, indolencja i bieda pozostaną takie, jakie były”.

Musiałem przyznać, że jest to jasny program, ale miałem wątpliwości, czy był wykonalny. Kto zechce pracować za obietnicę wdzięczności i zapłaty? Czy nie

skończy się na tym, że jedni będą ciężko harować, a inni skorzystają z ich zapobiegliwości, że człowiek leniwy i ospały będzie żyć z wysiłku i pomysłowości lepszych od siebie? A wtedy egoizm pogłębi się jeszcze bardziej, jak w bajce o koniku polnym i mrówce. Koniki polne zamienią mrówki w swych wyrobników i zaczną je siłą naganiać do pracy, podwójnie zadowolone z tego, że nic nie robią, bo same nie tracą sił, a wszystko i tak mają za darmo?

Profesor Kotarbińska zarzuciła mi czarnowidztwo i małą wiarę. „Niech pan porówna społeczeństwa bogate i biedne. W bogatych nikt się nie boi pracy, nie ogląda się na innych, nie produkuje buble, nie udaje słabego, zmęczonego ani bezwolnego. Przede wszystkim nie czuje się pokrzywdzony, gdy wykona pracę i nie dostanie zapłaty. Gdy tak się zdarzy, nie czuje się oszukany ani wyzyskany, tylko pożyteczny. To jest wielka różnica. Tam, gdzie walą się płoty, tynk odpada od ściany, krowy chodzą po drodze utyłane w błocie, tam widać niechęć do pracy i pogardę dla wysiłku. W takiej sytuacji trzeba najpierw zmienić nawyki objawiane w codziennym życiu, a później myśleć o tym, jak się kogo wynagrodzi.”

Nie byłem pewien, czy profesor Kotarbińska przedstawia mi poglądy własne, czy męża. Zapewniła mnie, że były to ich wspólne przekonania. Wspomniała też, że nie widzi istotnych przeszkód politycznych w ich realizacji. To prawda, że bogate społeczeństwa to najczęściej nie są te, w których rządzią partie komunistyczne, ale to nie ma większego znaczenia. Jak długo będziemy żyć w socjalizmie, mamy dwie drogi wyboru. Będziemy żyli w socjalizmie obiboków i leniów — a więc będziemy żyć w biedzie; albo weźmiemy się do dobrej roboty i będziemy żyć lepiej. Być może najwięcej skorzystają nadzorcy i kierownicy pracy, ale nawet jeśli oni będą żyć lepiej niż pozostali, ciężko pracujący też na tym skorzystają, ich los też się poprawi. Mnie bardziej interesował inny aspekt jej poglądów. Czy program „dobrej roboty” nie jest po prostu programem utylitarystycznym? Jak go można pogodzić z wyraźnym potępieniem utylitaryzmu wypowiedzianym przez Tadeusza Kotarbińskiego? Pamiętałem jego opinię o Millu i Spencerze.

„Jest poważnym nieporozumieniem identyfikować obowiązek z dobrem moralnym [...]. Z tego wynika wielki błąd etyki utylitarystycznej. Póki uznaje ona, że to, co jest największym szczęściem, jest też największym dobrem moralnym czy w ogóle dobrem moralnym, a to stawia na równi z obowiązkiem, póty obowiązkiem jest największe szczęście, największe dobro ogółu, czyli inaczej obowiązkiem jest dążenie do tego największego dobra. Jest to kwestia mniej sporna, póki chodzi o usuwanie cierpień. Wtedy obowiązkiem jest jak największy wysiłek ku ich usunięciu, ku staraniu usunięcia jak największej ilości z nich.”

Pamiętałem też podstawę tego potępienia.

„Po rozważeniu kwestii z różnych stron narzuca się zrazu poczet czworakiego rodzaju zachowań się haniebných. Nędznikiem jest okrutnik, tchórz, oszust,

wreszcie człowiek upadły (np. niewolnik nałogu). Przeciwnie, zasługują na szacunek ludzie za swoją dobroć, wyrażoną w czynach, za czyny odważne, za prawość niezachwianą, za opanowanie i uwznioślenie wewnętrzne.”

Jeśli mamy wszyscy pracować dla wspólnego dobra — argumentowałem — to przyjmujemy powszechne szczęście za wartość najwyższą. Moim zdaniem zachodził wyraźny konflikt między zaleceniami prakseologii, które miały utylitarystyczne uzasadnienie, i zaleceniami etyki, która opierała się na ideale „spolegliwego opiekuna” i najcięższe potępienie kierowała w stronę jednostek dopuszczających się hańby — okrutników, tchórzów, oszustów i ludzi upadłych. Profesor Kotarbińska nie miała podobnych wątpliwości. „Prakseologia była najważniejszym osiągnięciem mojego męża. To była myśl najbardziej oryginalna i bardzo pożyteczna. Może ważniejsza niż to, czym zajmuje się filozofia. Nie ma tu zresztą żadnej sprzeczności z jego etyką. Człowiek źle pracujący jest rodzajem człowieka upadłego. Oglądanie się na zapłatę za każdy wykonany wysiłek jest też bliskie tej postawy. Praca i zapobiegliwość jest naszym obowiązkiem, jest objawem cnoty, którą powinniśmy w sobie pielęgnować. Szczęście społeczne jest tylko efektem mądrego kierowania własnymi nawykami, jest efektem uwznioślenia wewnętrznego. Gdy dajemy coś z siebie innym, robimy to dla własnego i dla ich dobra. My zdobywamy cnotę, oni szczęście. Są to pewnie dobra nieporównywalne, ale zostały szczęśliwie sprzężone. Kto próbuje je mierzyć, przyjmuje postawę teoretyka, który goni za hipostazami, zamiast na pytanie odpowiadać metodą «mięśniową». W ten sposób dyskusja powróciła do punktu wyjścia. Zacząłem się zastanawiać, kto z nas głębiej żyje życiem swego społeczeństwa, profesor Kotarbińska, dla której nawyki dobrej pracy były trwałą cechą dobrze ukształtowanego charakteru, czy ja, nadal przekonany, że to, jak kto pracuje, zależy nie tyle od niego, co od otoczenia, które albo szanuje cudzą pracę, albo ją lekceważy i niszczy.

Nie spotkaliśmy się już więcej. Pamiętając o tej rozmowie, zastanawiałem się w ostatnich latach, jak profesor Kotarbińska patrzyła na zmiany, jakie zachodzą w Polsce. Zapał do pracy wydaje się wprawdzie większy niż wtedy, gdy rozmawialiśmy, ale i liczba „ludzi upadłych” niepokojąco rośnie — tych, którzy nie pracują, i „niewolników nałogu”. Okrutników jest albo tyle samo co niegdyś, albo więcej. Z pewnością są jednak bardziej bezwzględni. Liczba oszustów prawdopodobnie rośnie, a liczba spinegliwych opiekunów maleje. Sprawą niejasną pozostaje gotowość do bezinteresownego działania na rzecz innych, czyli troska o wspólne dobro. Janina Kotarbińska miała chyba rację, że ta postawa między innymi odróżnia społeczeństwa bogate od biednych. I wydaje się, że obecny kapitalizm otwiera przed nami dwie drogi, podobnie jak je otwierał socjalizm: możemy być bardziej bogaci, lecz mniej szczęśliwi, lub mniej bogaci i bardziej szczęśliwi. Trudno zgadnąć, czy w tej sprawie naszym doradcą będzie etyka, wygodnictwo, czy przypadek. Pewne prakseologiczne pytania, które wydawały się prof. Kotarbińskiej tak ważne, pozostają więc otwarte.